

Ocalenie w Centrum Częstochowy

Edward Gabriel Horowitz

WPROWADZENIE

W 1898 roku powstała w Częstochowie "Żydowska Szkoła Rzemieślnicza". Po kilku latach, na początku 20-ego wieku, zaproponowano mojemu dziadkowi, Perecowi Horowitzowi który zamieszkiwał wtedy w Warszawie, posadę nauczyciela ślusarstwa w tejże szkole, i w ten sposób Piotr-Perec Horowitz urodzony w Odessie, po dłuższej służbie w armii Cara Mikołaja i demobilizacji w Warszawie, przeprowadził się wraz z rodziną do Częstochowy. Mój ojciec Izaak, urodzony jeszcze w Warszawie, spędził dzieciństwo w Częstochowie, i zdążył się jeszcze uczyć w szkole pod zaborem rosyjskim przed pierwszą wojną światową. Uczęszczał do gimnazjum im. Sienkiewicza lecz nie ukończył studiów, i w wieku lat 16 przyjął posadę urzędniczą w firmie Warta – Przędzalnia i Tkalnia Juty i Lnu Sp.A. Każda Spółka Akcyjna musiała mieć sekretarza, i z biegiem czasu stał się on sekretarzem tej firmy; przed wojną była to posada poważna i dobrze opłacana. Dziadek w międzyczasie poddał się do dymisji w Szkole Rzemieślniczej i założył z młodszym synem Antkiem fabrykę, a może tylko fabryczkę, wyrobów metalowych P. Horowitz i Syn. Ojciec, obok pracy na Warcie był cichym współnikiem z innym bratem w innej fabryce (także artykułów metalowych) pod nazwą "Braho" – Bracia Horowitz.

Cała rodzina była świecka - znaczy niereligijna (może z powodu długoletniej służby dziadka w armii).

Na początku wieku przeniósł się z Łodzi do Częstochowy Salomon Reingold, który w latach 20-tych poprzedniego wieku miał t.zw. "ekspedycję" to znaczy firmę, która aranżowała przesyłki na cały kraj. Jego córka Bala Horowitz, z domu Reingold, była moją matką. Ukończyła w Częstochowie gimnazjum żydowskie pod dyktando Majera Bałabana, słynnego historyka. Bala prowadziła biuro Ojca, a potem biuro firmy "Braho".

Bala i jej brat Meir (Majer) mimo że pochodzili z religijnego domu, należeli do organizacji młodzieżowej Haszomer Hacair, i Meir z jej ramienia wyjechał do Holandii na wykształcenie rolnicze a potem do Palestyny.

Ojciec Izaak i matka Bela znali się z widzenia ale związek między nimi rozwinął się w ramach innego żydowskiego kulturalno-sportowego ugrupowania, a mianowicie ŻTK – Żydowskie Towarzystwo Krajoznawcze. Na wycieczkach wzdłuż Szlaku Orlich Gniazd (który może jako szlak nie był jeszcze oznaczony, ale, naturalnie, wzgórze i ruiny zamków istniały) pogłębiła się ta znajomość, ukoronowana ślubem w maju 1933 r.

Półtora roku później urodziłem się ja - pod dwojgiem imion: Edward Gabriel. Od przyjazdu do Palestyny/Izraela posługuję się imieniem Gabriel, ale wszyscy krewni i znajomi w Polsce, i to dotyczy rodziny Wacława Miłowskiego który nas ratował w czasie okupacji, i z którego synami, córką, wnuczkami i wnukami znajduję się w stałym kontakcie, nazywają mnie nadal Edek.

E.G.H.

OCALENIE W CENTRUM CZĘSTOCHOWY

Urodziłem się 21 września 1934 r. w Częstochowie, wobec czego miałem 5 lat gdy 1-go września wybuchła wojna. W tym dniu ojciec obudził mnie słowami: "Wojna wybuchła, jedziemy do Warszawy. Stolica, mam nadzieję, będzie broniona przez Wojsko Polskie, i nie wpadnie w ręce Niemców".

Jechaliśmy do Warszawy pociągiem towarowym, który od razu został zaatakowany przez samoloty niemieckie. Przy każdym nalocie pociąg stawał i wszyscy pasażerowie wysypywali się z towarowych wagonów. Aby uchronić się od bomb i szrapneli trzeba było biec szybko żeby oddalić się jak najbardziej od bombardowanej kolei. Z drugiej strony należało zdążyć i wrócić do pociągu nim ruszy w dalszą drogę. Pewnego razu ojciec "wrzucił" mnie do wagonu, ale sam nie zdążył wspiąć się na niego. Jechałem kilka godzin między obcymi pasażerami nie wiedząc czy ojcu udało się wskoczyć do innego wagonu, czy też jadę sam, bez rodziców. Po jakimś czasie pociąg się zatrzymał i ojciec mnie odnalazł. Innym razem ojciec wyskoczył z wagonu nieszczęśliwie i złamał rękę, która dopiero w Warszawie została zagipsowana.

W Warszawie mieszkaliśmy w mieszkaniu ciotki ojca, która sama przeniosła się do innych krewnych. "Mieszkaliśmy" - więcej czasu spędziliśmy w schronie tego domu (w piwnicy) niż w samym mieszkaniu. Pewnego razu wróciliśmy do mieszkania i okazało się że kilka szrapneli z bomby wdarło się do mieszkania. W tych warunkach przeżyliśmy trzy tygodnie (po całym tygodniu jazdy do Warszawy), aż do kapitulacji miasta. Widzieliśmy rodzaj defilady triumfalnej wojska niemieckiego – i bezradni wróciliśmy do Częstochowy.

Nie wiem dlaczego nie wróciliśmy do naszego poprzedniego mieszkania w eleganckim wówczas domu na ul. Wolności 11, a przenieśliśmy się, wprawdzie niedaleko, do starszego domu, do mieszkania ciotki na ul. Wolności 15, gdzie mieszkaliśmy aż do utworzenia getta żydowskiego półtora roku później.

Przez te półtora roku żyliśmy niby normalnie, ale co raz bywały szykany niemieckie. Od początku Żydom nie wolno było jeździć kolejami, nie wolno było w ogóle opuścić miasta. Po jakimś czasie dorośli byli zmuszeni nosić opaskę na ramieniu, co jakiś czas odbywały się łapanki na ulicach, a złapani byli zmuszani wykonywać różne prace dla

Niemców w okolicach Częstochowy; z drugiej strony przywożono do miasta Żydów z pobliskich miasteczek którzy w Częstochowie stawali się bezdomni. Część z nich mieściła się w piwnicach spalonej przez Niemców wielkiej Nowej Synagogi (na miejscu której znajduje się obecnie Gmach Częstochowskiej Filharmonii). Jeden z moich wujków, Idel, opiekował się tymi przybyszami z ramienia gminy żydowskiej, i pracując wśród nich zaraził się i wkrótce umarł na tyfus. Moja ciotka - wdowa po nim z dziećmi, moimi kuzynami, zginęli wszyscy w Zagładzie.

Wracając do szykan, nakazano Żydom oddać Niemcom złoto i inne przedmioty wartościowe, futra itp. Nieco później rekwirowano Żydom meble, aż na tyle, że zabrali mi konika na biegunach.

W kwietniu 1941 Niemcy stworzyli getto żydowskie, i tak wielka ilość Żydów stała się bezdomna w swoim mieście. Rodzice razem ze mną przeprowadzili się do mieszkania dziadka i babki Piotra Horowitza, na ulicy Strażackiej 5, róg ul. Targowej, vis-a-vis Willi Buhlego.

Dom ten stał na krańcu getta, wchodziliśmy do niego ze strony ulicy Targowej, bo sama ulica Strażacka, jako ważna arteria i jedyna przez którą mógł wyjeżdżać sprzęt strażacki, nie była wkluczona do getta. Okna mieszkań wychodziły na Strażacką, to znaczy na aryjską stronę, co się okazało bardzo ważne, jak opowiem w dalszym ciągu.

W getcie nie wolno było prowadzić szkoły, a jednak uczyłem się tam w "szkółce podziemnej". W getcie przerobiłem pierwszą i drugą klasę szkoły podstawowej. Nie mieliśmy tornistrów; zeszyt nosiłem pod koszulą, ołówki w kieszeni, a nauka odbywała się w mieszkaniu nauczycielki, pani Stefy Meisler, o ile się nie mylę. W latach 1941-1942 uczęszczałem na rodzaj kolonii która się odbywała w ogródku na ulicy Krótkiej. Bardzo szybko nauczyłem się czytać, co było bardzo ważne podczas późniejszego osamotnienia w bunkrze.

Latem 1942 roku Niemcy przeprowadzili inspekcję zawodowego i zdrowotnego stanu ludności żydowskiej w getcie. Wszyscy dorośli Żydzi stawili się przed komisjami niemieckimi które badały zdrowie, wiek i zawody ludzi. Po zakończeniu tej żmudnej pracy komisji, wszyscy otrzymali nowe dowody osobiste, lecz ludzie zdrowi i

miejący zawody konstruktywne dostali dowody ze stemplem niemieckiego orła, a reszta - dowody bez "orzelka". Wszyscy byli pewni że właścicielom dowodów "z orzelkiem" nic się nie stanie, bo inaczej po co by się Niemcy tak trudzili? Ale ten cały wysiłek niemiecki miał na celu tylko jedno: uspokoić i "uśpić" młodą i zdrową część żydowskiej ludności, zaledwie 2-3 miesiące przed "akcjami".

Nasz dom, na ulicy Strażackiej nr. 5, stał, jak już wspomniałem, na krańcu getta, i z naszych okien było widać część strony aryjskiej. Widzieliśmy wszystko co przechodziło przez ulicę Strażacką, ulicę która prowadziła do Papierni, a nawet odcinek ulicy Krakowskiej (Narutowicza), która była bardzo ważną arterią.

W czerwcu 1941 roku widzieliśmy prawdopodobnie tylko ułamek sił niemieckich które przejeżdżały przez Częstochowę, dążąc na wschód, jak się szybko okazało, na wojnę z Rosją. Ten ułamek wystarczył abyśmy byli przygnębieni; tyle artylerii, tyle sił pancernych! Wyglądało, jakby Niemcy byli niezwyciężeni! Tylko dziadek, Piotr (Perec) Horowitz, któryza młodu służył w armii Cara Mikołaja i był już wtedy bardzo chory, był przekonany że Rosji się nie da zwyciężyć: "Zobaczycie jeszcze że Rosja pokona Niemców." Wkrótce potem dziadek zmarł, na szczęście w swoim łóżku, rok przed Zagładą, i został pogrzebany na cmentarzu żydowskim (lecz obecnie nie mogę odnaleźć jego grobu). Jego żona Sonia doznała innej śmierci i nie doczekała pogrzebu.

We wrześniu 1942 roku widzieliśmy po raz pierwszy jednostki policji czy wojska (?) w czarnych mundurach. Do tej pory (od września 1939) widzieliśmy zielone mundury Wehrmachtu i polską granatową policję która działała w służbie okupantów. Rodzice zrozumieli że są to jednostki SS i ich przybycie do do Częstochowy jest związane z ludnością żydowską – czyli likwidacją getta i wygnaniem Żydów w nieznaną, i na nieznaną los (nikt w naszym gronie znajomych nie wiedział o obozach śmierci i o t.zw. "ostatecznym rozwiązaniu". Muszę dodać: był to rok 1942; po wyzwoleniu czytałem że dwa lata później (!), w roku 1944, żydostwo Budapesztu nadal nie wiedziało jaki los ich oczekuje - przypisuję to niemieckiej obłudzie.

W wigilię Sądnego Dnia (Jom Kipur) 1942 odbyła się w naszym mieszkaniu rodzinna narada, część której i ja słyszałem. Mój ojciec, jak zawsze rozsądny człowiek, twierdził że nie ma dokąd uciec, koniec wojny jest bardzo daleki. Niemcy we

wrześniu 1942 stali pod Stalingradem (!) a w Afryce zbliżali się do Kairu, i do tej pory byli niepokonani (klęski pod Stalingradem i w El-Alamein miały miejsce później), a my nie mamy dosyć pieniędzy żeby ukrywać się przez dłuższy czas.

Wujek Antek, młodszy brat ojca, twierdził, że w każdym wypadku trzeba uciekać z getta i starać się przeżyć po aryjskiej stronie.

Postanowiono uciec.

Antek, żyjąc w getcie, nadal kierował małą fabryczką która należała do nas przed wojną, a podczas wojny została skonfiskowana przez Niemców i znajdowała się pod nadzorem niemieckiego komisarza. Ów komisarz, Niemiec (!) zgodził się napisać "żądanie" że potrzebuje nazajutrz 10 robotników na nocną sztychtę; takie żądanie równało się przepustce wyjścia z getta. Została sprawa wyprowadzenia z getta dwojga dzieci; mojego i mojej młodszej ode mnie o rok kuzyneczki Celinki (miałem także kuzyna i kuzynkę ze strony matki, ale tu jest mowa o rodzinie ojca).

Postanowiono że wieczorem, "o szarej godzinie", Celinka i ja przejdziemy most nad Wartą (odcinek rzeki Warta stanowił część granicy getta) i dojdziemy sami do naszej byłej fabryki. Fabryka była po aryjskiej stronie, co prawda niedaleko rzeki. Byłem tam poprzednim razem mając 5-6 lat, potem przebywałem w getcie półtora roku, ale mimo to polegano na mnie, że trafię. Kuzyneczka Celinka, wówczas siedmioletnia, orzekła że bez swojej Mamy nigdzie nie pójdzie, i pozostała w getcie z matką. Obie zginęły podczas likwidacji getta. Tata kuzyneczki był wtedy w niewoli rosyjskiej, w którą wpadł jako polski żołnierz kampanii wrześniowej.

I tak, u schyłku Sądnego Dnia który wypadł w 1942 roku 21-ego września, akurat w dniu moich 8-ych urodzin, ja, ojciec i wujek kroczyliśmy ulicą Targową, a później Mirowską, w kierunku mostu na Warcie. Po drodze przechodziliśmy obok synagogi i sztyblów (pomieszczeń funkcjonujących jako tymczasowe synagogi). Tłumy ludzi którzy także odczuwali niebezpieczeństwo modliły się do Boga prosząc o Jego miłość i łaskę.

Na moście stał "granatowy" policjant. Ojciec i wujek wdali się z nim w rozmowę, a może dali mu łapówkę; w każdym razie, niby nie postrzeżony przez niego

czmychnąłem przez most – szedłem bardzo pochylony, żeby nikt nie zauważył przechodzącego żydowskiego chłopca. Po krótkim marszu doszedłem bez problemu do fabryki gdzie już czekał na mnie żydowski robotnik wtajemniczony w moją ucieczkę. Godzina była mniej więcej siódma.

O godzinie 11-tej tegoż dnia przybyli rzekomi robotnicy na nocną sztychtę: moi rodzice, wujostwo, babcia, kuzyn Oleś i jeszcze dwóch czy trzech byłych robotników fabryczki.

Jak wspominałem, była godzina 11-ta. O 12-ej, godzinę później, SS-owcy w czarnych mundurach oblężyli getto ze wszystkich stron, "zluzowali" granatowych policjantów z posterunków. Nikt już nie mógł opuścić getta! Nazajutrz, 22-ego września, rozpoczęły się t.zw. "akcje", czyli wywóz ludności getta do Trebłinki na śmierć, jak się okazało później.

*

W fabryczce ulokowano nas na strychu. Przez okna strychu widzieliśmy nazajutrz (22.9.1942) jak prowadzono masy Żydów z getta do stacji kolejowej towarowej która znajdowała się niedaleko naszej fabryczki. Ludzie szli z walizkami bądź torbami, nadal wierząc że będą wygnani a nie wyginiani. Tego widoku nigdy nie zapomnę, i on stał mi przed oczami w październiku 2009 r., w czasie odkrycia pomnika ku czci tego wygnania- wysłania na śmierć, który został postawiony na terenie owej byłej stacji towarowej.

Po kilku dniach niemiecki komisarz fabryki oświadczył, że robotnicy dowiedzieli się o naszej kryjówce a on się obawia donosu na Gestapo, i musimy opuścić teren fabryczki. Dokąd?

Dokąd? Musieliśmy się rozdzielić. Babcia została skierowana do przyjacieli rodziny. Okazało się, że jej nie przyjęli. Do tej pory nie wiemy co się z nią stało, czy próbowała iść do innych znajomych, czy też wrócić do getta. Nigdy nie dowiedzieliśmy się jaki los ją spotkał.

Nasza czwórka, moi rodzice, ja i mój 14-letni kuzyn Olek, opuściliśmy nocą budynek fabryczki i skierowaliśmy się w głąb przedmieścia Zawodzie, do znajomego o imieniu

Bolek. Bolek odwiedził nas w getcie (należy pamiętać, że w odróżnieniu od innych gett, chrześcijanom wolno było wchodzić i przechodzić przez częstochowskie getto) i przyrzekł że w razie czego będzie gotów pomóc nam. Mimo to gdy otworzył nam drzwi i zobaczył nas, przeraził się. Powiedział nam stanowczo że nie może nas przetrzymać ponad dobę. Następnego wieczoru czekała nas przeprawa; postanowiliśmy prosić o przytułek w Lisińcu. Szliśmy prawie całą noc bojąc się każdego cienia, i chodząc bocznymi ulicami, by się nie natknąć na niemieckie patrole. Nad ranem dotarliśmy do cegielni na Lisińcu, która przed wojną należała do siostry i szwagra Matki. Majster cegielni poznał nas i ulokował na strychu, pośród myszy, w szalejącym przeciągu. Na tym strychu spędziliśmy miesiąc.

W ciągu tego miesiąca Mama miała zapalenie ucha - straszne bóle, ale niesposób było wezwać pomoc lekarską. Brała tylko środki uspokajające, proszki zwane "kogutkami", i straciła słuch w tym uchu.

Po miesiącu "akcje" zostały przerwane, ojciec i Olek wrócili do "małego getta", ja i mama zostaliśmy jeszcze przez krótki czas na strychu w tej cegielni, aż majster wymówił nam dalszy pobyt. Prawdopodobnie po wyrzuceniu nas przyjął tam inną żydowską rodzinę, która mogła mu płacić więcej niż my.

Nie wiem kto to zorganizował, ale matka, ja i ojciec który uciekł z małego getta przeszliśmy pewnej nocy 14 km i zostaliśmy przyjęci przez chłopca którego dom był oddalony o jeden kilometr od wsi Zawady. Tam dzieliliśmy czas między jego domem (nocami) a stodołą (we dnie). Oprócz gospodarza wiedział o nas także jego szwagier którego chałupa była oddalona stamtąd, a także ode wsi, o kilometr. Po jakimś czasie szwagier zażądał żebyśmy przeszli do niego, bo on też chce zarobić na nas. Byliśmy kilka tygodni w chacie szwagra, i wtedy on zainscenizował napad na ojca i rabunek, niedaleko jego domu, a potem wygnał nas pod pretekstem że rabusie już wiedzą że on przechowuje Żydów, i dlatego nie możemy ani zostać u niego ani wrócić z powrotem do szwagra.

Ojcu udało się skontaktować z bratem Antkiem któremu udało się przekonać znajomego, Wacława Miłowskiego, który za młodu mieszkał w pobliżu rodziny Horowitz i przez jakiś czas pracował w rodzinnej fabryczce, by urządził schowek -

"bunkier" dla rodziny brata (czyli dla nas), i jeśli wszystko się uda – on dostanie na własność tą właśnie fabryczkę.

Wacław Miłowski- sprawiedliwy wśród narodów świata, człowiek szlachetny i niezmiernie odważny, może trochę lekkomyślny (ale gdyby nie był taki, toby... ?), serdeczny, kochający ludzi, podjął się misji ocalenia naszej rodziny. Żonę i 4+letniego synka wysłał na wieś, aby się nie znajdowali w stałym niebezpieczeństwie, a sam wynajął na ulicy Krakowskiej, a więc w samym centrum Częstochowy, można powiedzieć w do niedawna centrum getta, okropne jednopokojowe, jeszcze z kuchnią, mieszkanie. Dlaczego okropne? Bo się znajdowało na samym końcu podwórka, za śmietnikiem, bez bieżącej wody i klozetu. W ogóle, kto ma ochotę, nawet schodząc na podwórko, ominąć z trudem śmietnik by oglądać co się dzieje za nim?

Obowiązywało zaciemnienie okien. Większość ludzi codziennie rano usuwała zaciemnienie, by słońce dotarło do wnętrza. Nasz Wacek zawsze "zapominał" i zostawiał jedno z dwóch okien zaciemnione przez cały dzień, i to był jedyny kąt w którym mogłem się poruszać. W kuchni była wiejska piwnica, wykopana pod podłogą i przykryta drewnianą klapą. W piwnicy znajdował się zwykle węgiel. Wacek zrobił w piwnicy drewnianą przegródkę, za przegródką było bardzo ciasne miejsce na trzy osoby, i w razie jekiegokolwiek niebezpieczeństwa ukrywaliśmy się za tą przegródką. Obawialiśmy się, że jeśli ktoś podniesie klapę, od razu zorientuje się że piwnica ma trzy ściany kamienne a czwartą drewnianą – bardzo podejrzane. Ale było to najlepsze rozwiązanie w danych warunkach. Przebywaliśmy tam (nie w piwnicy, w tym mieszkaniu) od kwietnia 1943 do stycznia 1945 – aż 22 miesiące! Przez cały ten czas nie widzieliśmy słońca, nie mieliśmy świeżego powietrza, możliwość ruchu była bardzo ograniczona, ale największym problemem był głód. Byliśmy obrabowani, w ciągu miesięcy jeśli nie lat, bez dochodów, a Wacek który pracował jako robotnik i musiał utrzymywać żonę i dziecko mieszkających oddzielnie na wsi, naprawdę nie mógł utrzymywać nas, choć w pewnej mierze to robił. Za jego pośrednictwem (bo myśmy nie wychodzili z bunkra) sprzedawaliśmy więcej lub mniej wartościowe rzeczy, i znów za jego pomocą nawiązaliśmy kontakt ze znajomymi którzy pracowali przed wojną z ojcem w Przędzalni i Tkalni"Warta" - pamiętam majstra Władysława Bielobrodka i Aleksandra Sosnę. Obydwaj przysyłali nam co pewien czas żywność, a czasami kwoty pieniężne. Część tych pieniędzy pochodziła, jak opowiedział Bielobrodek po wojnie, od ukrywającego się Żyda Salomona Wagi, z którym

Bielobrodek też był w kontakcie. Czasami Antek który był w Warszawie a potem w Niemczech na aryjskich papierach, przysyłał pewne sumy. Ojciec, który miał silną samodyscyplinę, zaczął pościć dzień, a potem dwa dni w tygodniu, i w końcu był spuchnięty z głodu. Matka też pościła raz w tygodniu, ale na mnie nalegali żebym jadł co było i co zostało. Do dziś dnia mam poczucie winy że jadłem; gdybym twierdził częściej że jestem syty, rodzice jedliby więcej. Oni byli przegłodzeni przez cały czas pobytu w bunkrze.

Innym problemem było zachować zdrowie psychiczne. W bunkrze miałem jedną jedyną książkę, przynajmniej była to wspaniała książka dla młodzieży, a mianowicie "W Pustyni i w Puszczy" Henryka Sienkiewicza. Czytałem ją od początku do końca i od końca do początku. Czytałem wrywyki, znałem ją prawie na pamięć. Pod sam koniec byliśmy zmuszeni sprzedać ją, pewnie za cenę jednego bochenka chleba. Od czasu do czasu Wacek przynosił gazety w języku polskim pod cenzurą niemiecką, i czytałem je od deski do deski. Mimo że Niemcy próbowali ukryć porażki, można było odczytać gdzie fronty stały w danym momencie. Czekaliśmy półtora roku (cały 1943 i pół 44-go roku) aż Alianci wykonają inwazję w Normandii. Ubolewaliśmy gdy Rosjanie zatrzymali ofensywę nad brzegiem Wisły i ponowili ją po upływie połowy roku, ostatnie najgorsze pół roku przed wyzwoleniem.

Dwa szczególne wypadki które zdarzyły się w okresie pobytu w bunkrze:

Pierwszy z nich wydarzył się 22.12.1943 – przez niezaciemnione okno zobaczyliśmy 3-4 niemieckich żołnierzy dobijających się do naszych drzwi. Nim drzwi wyważyli zdążyliśmy zbiec do piwnicy i usiąść za drewnianą przegrodką. Byliśmy pewni że nadszedł nasz koniec. Żołnierze wdarli się do mieszkania i podnieśli kłapę piwnicy, lecz w taki sposób, że kłapa zasłaniała akurat tą drewnianą przegrodkę, która zawsze wzbudzała naszą obawę, że może okazać się podejrzana. Słyszeliśmy słowo po niemiecku "Kohle", znaczy, że w piwnicy jest tylko węgiel. Po kilku minutach odeszli ni zauważywszy ani nas, ani nawet palącego się piecyka. Pozostaliśmy w ukryciu, bo pozostawili wywalone drzwi. Na szczęście niedługo potem wpadł do nas Lutek, brat Wacka (który wiedział o nas), naprawił drzwi i mogliśmy wyjść z piwnicy. Wacek opowiedział potem że w fabryce w której pracował skradziono pasy skórzane wprawiające maszyny w ruch, właściwie był to sabotaż, i tego dnia jednostki z

miejscowego garnizonu odwiedziły mieszkania wszystkich robotników, by znaleźć te skradzione pasy.

Drugi wypadek powtarzał się kilka razy. Polscy partyzanci wpadli do mieszkania i kazali ich przenocować. W tych sytuacjach siedzieliśmy w piwnicy przez całą noc, i okazało się że nie starcza tlenu na oddech trzech osób przez wiele godzin w piwnicy. Ojciec przekraczał przegródkę i unosił palcami tą klapę, by trochę powietrza wtargnęło do piwnicy przez utworzoną szparę. Brak tlenu powodował silne bóle głowy, nacisk na tułów i dużo cierpień.

Pod koniec, już w styczniu 1945 roku, Częstochowski Komitet pomocy uciekinierom z Warszawy (ludziom którym udało się uciec z Warszawy w czasie powstania Armii Krajowej) zarekwirował mieszkania z naszym bunkrem. Wackowi powiedziano mniej więcej: "Ty żyjesz samotnie, idź do rodziny, w tym mieszkaniu osadzimy całą rodzinę." Nie było rady. Wacek zabrał mnie do swoich teściów na Zawodziu (którzy, jak się okazało, też ukrywali dwie Żydówki) i powiedział moim rodzicom żeby sobie sami dali radę.

Rodzice nie widzieli inego wyjścia jak popełnić samobójstwo. Jak to wykonać nie mając broni, noży czy środków medycznych? Postanowili utopić się w rzece. Po drodze do rzeki słyszeli od przechodniów że Sowietci ruszyli z nad Wisły i rozpoczęli nową ofensywę. Słyszając to rodzice postanowili iść do teściów Wacka, chociaż obawiali się jego reakcji, a tym bardziej reakcji jego teściów. Gdy Wacek ich ujrzał ucieszył się bardzo, a teściowie Franciszek i Agnieszka o nazwisku Zmysłek bodajże, oraz Władek, brat żony Wacka, zgodzili się ukryć rodziców także, bo już było słychać z dala odgłosy armat. O ile pamiętam, starczyły Rosjanom zaledwie trzy dni ofensywy żeby dotrzeć do Częstochowy. 16-go stycznia 1945 roku Armia Radziecka oswobodziła Częstochowę.

POSŁOWIE

Zostaliśmy wyzwoleni. Niebezpieczeństwo i groza minęły... ale nie było pracy, nie było wpływów ani dachu nad głową. Ojciec był wycieńczony długą głodówką ale powoli wracał do siebie. Zwrócił się do firmy "Warta" żeby go przyjęli do pracy. Owszem, są gotowi przyjąć go z powrotem, ale na tą samą pensję którą dostawał przed wojną. Ponieważ w czasie wojny, w latach 1939-1945 była niesamowita inflacja, rzekoma zgoda na jego powrót była właściwie odmową.

Znaleźliśmy mieszkanie na ul. Wolności 15, tym razem własnością rodziny Rozenbergów. Jedyne ocalały członek rodziny Józek służył obecnie w Armii Polskiej (w randze porucznika) i wynajął nam to mieszkanie. Matka która zawsze była bardzo dzielna zajęła się drobnym handlem i zaczęła mieć pierwsze dochody. Ojciec który wspaniale władał językiem polskim i umiał prowadzić korespondencję z organami municypalnymi i rządowymi, był proszony przez wiele osób – Żydów – by ich przedstawiał osobiście lub piśmiennie przed władzami i sądami. Chodziło przeważnie o odzyskanie nieruchomości i dziedziczenie po zmarłych krewnych. Po jakimś czasie dostawał od nich pewne sumy pieniężne.

Po dość krótkim czasie został zorganizowany Komitet Żydowski i przybyła pomoc ze strony Żydostwa Amerykańskiego – finansowa, odzież itp. Ja zacząłem uczęszczać do szkoły, do 5-ej klasy szkoły powszechnej na ulicy Katedralnej. Wprawdzie nie przechodziłem 3-ciej i 4-ej klasy, lecz dawałem sobie radę w klasie na mój wiek; wówczas – 10 lat.

Tuż po wyzwoleniu Rodzice postanowili opuścić Polskę i wyjechać do Palestyny – obecnego Izraela, lecz zostaliśmy jeszcze jeden rok aby odwdzińczyć się Wackowi. Niestety krótko przed wyzwoleniem Niemcy wywieźli do Niemiec maszyny z naszej byłej fabryczki, i przyrzeczona Wackowi fabryka po prostu już nie istniała.

Matka przeprowadziła przez sąd procedurę w wyniku której została uznana za spadkobierczynią swej zmarłej siostry i otrzymała kilka morgów ziemi na krańcu w Częstochowy. Ziemię tą oddała Wackowi by mógł ją spieniężyć. Dopiero po zakończeniu procedury rodzice pozwolili sobie na wyjazd. Co do majątku – ziemi te zostały po naszym wyjeździe "znacjonalizowane", i Wacek w dalszym ciągu pracował

jako robotnik i majster w fabryce wagonów we Wrocławiu, dokąd się przeprowadził zaraz po wojnie, gdzie dostał "poniemieckie" mieszkanie z ogródkiem. Rodzice, a potem ja, pomagaliśmy potem Wackowi finansowo przez długie lata. W 1980 roku gościliśmy Wacka i Helę w Izraelu, i w czasie ich pobytu w Izraelu został on uznany za "Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata" i zasadził drzewko w "Alei Sprawiedliwych".

Co do wyjazdu do Palestyny/Izraela, nie wystarczyła sama decyzja, bo granice Polski i bramy Palestyny były zamknięte. Do Częstochowy dotarli delegaci Syjonistycznych organizacji, ale oni zajmowali się organizacją młodych ludzi bez rodzin; tworzyli grupy, t.zw. "kibuce" i wysyłali je do rozmaitych krajów w Europie, by stamtąd przerzucić ich do Palestyny. Rodzinom jak nasza, z dzieckiem, organizacje te, przynajmniej wtedy, nie pomagały.

W lutym 1946 roku zabraliśmy się z Luckiem, młodym Żydem, który "szmuglował" ludzi z Polski do Niemiec, na taką wyprawę. Za pewną, dość pokaźną sumę, miał nas doprowadzić do Monachium, co znaczyło przekroczenie trzech granic: z Polski do rosyjskiej strefy Niemiec, z rosyjskiej strefy na angielską (dwie trudne przeprawy), i trzecia, o wiele lżejsza, z angielskiej strefy na amerykańską.

Rzeki Nysa i Odra stanowiły granicę między Polską a strefą rosyjską. Na szczęście dla nas, w lutym 1946 była ogromna powódź, posterunki graniczne nad brzegiem Odry musiały być opuszczone, co ułatwiło przebicie się bez przeszkody przez rzekę na gumowych łódkach. W zamkniętym pudle ciężarówki przejechaliśmy rosyjsko-angielską granicę. Po dwóch tygodniach dotarliśmy do Monachium. Tam ulokowano nas w jednym z wielu obozów dla "displaced persons" – uchodźców. "Nasz" obóz w Einringu (byłym obozie Luftwaffe) znajdował się w pięknej okolicy wśród gór bawarskich. Byłem tam zaledwie kilka tygodni.

W obozie ogłoszono że król Jerzy VI postanowił nadać dzieciom ocalałym z Zagłady 1,000 certyfikatów, t. zn. dokumentów umożliwiających wjazd do Palestyny - w tym wypadku tylko dzieciom. Znow odbyła się narada rodzinna. Czy rozstać się po tak długiej wspólnej epopei? Ja osobiście chciałem jechać, i przekonałem rodziców że w Izraelu zacznę się uczyć "na dłuższą metę" i będę mógł uzupełnić stracone lata nauki.

Zostałem przyjęty do tego transportu dzieci i po dwóch następnych tygodniach , 25 kwietnia 1946 roku, przyjechałem sam do Palestyny/Izraela, 11-letni chłopiec bez rodziców. Przez trzy lata żyłem w Izraelu w internacie kibucowym.

Rodzicom nie udało się pojechać ze mną, ani legalnie ani nielegalnie. Tymczasem matka zaszła w ciążę, i w tym stanie padła w Niemczech ofiarą wypadku drogowego, na skutek którego straciła słuch w drugim uchu i odniosła dodatkowe obrażenia. Pomimo to urodziła, jeszcze w Niemczech, drugiego synka który otrzymał imię Perec po zmarłym dziadku.

Dopiero w roku 1948, w czasie wojny wyzwoleniczej Izraela, udało się nam połączyć w Izraelu i zacząć budować życie od nowa, jako czteroosobowa rodzina.